Nr. 16 We Lwowie, 16 sierpnia 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

Hagenbeck

Książkę Hagenbecka „Von Tieren u. Menschen", wydaną w r. 1909, a opisującą powstanie i dzieje tej słynnej firmy, trzeba uważać jako dzieło naukowo-przyrodnicze i jako takie powinno się z należć we wszystkich bibljotekach szkół średnich i być zalecane do czytania.

Czytelników „Łowca", którzy się z tą książką nie spotkali, zainteresuje może kilka ciekawszych dat, które podam.

Powstanie firmy, jako handlu zwierzętami sięga roku 1848 i było całkiem przypadkowe.

Największy wówczas w Hamburgu handel ryb, Karola Hagenbecka, miał rocznie zgodzonych rybaków, którzy cały roczny swój połów oddawali firmie. W marcu 1848 roku, oddali rybacy razem i 6 fok złapanych w sieci przy połowie ryb. Hagenbeck umieścił te foki w drewnianych baljach do prania bielizny w swem podwórzu i za wstępem 8 fenigów zaczął je pokazywać publiczności. Wiadomość o tych fokach dostała się aż do Berlina, dokąd H. wybrał się z niemi, przez jakiś czas pokazywał je zdziwionym Berlińczykom, a potem tam je sprzedał. Widocznie na tych widowiskach musiał sprytny przedsiębiorca zarobić dobre pieniądze, bo od tego czasu jest w ciągłem poszukiwaniu za objektami wystawowemi, w których wcale nie przebiera, stosownie do ówczesnych zwyczajów i wymagań publiczności. W roku 1863 pokazuje H. w budzie jarmarcznej w Hamburgu, świnię ważącą 900 funtów, a w tym celu od jakiegoś weterynarza kupioną. I świnia spełniła swoje zadanie, czem ośmielony kupuje on od kapitana okrętu wracającego z południowej Ameryki lamę za 60 talarów. Jednak ta ginie przed rozpoczęciem z nią widowisk a zostaje tylko ogromnych rozmiarów wspaniale za 12 talarów wymalowany szyld, do którego, aby chociaż tylko tych 12 talarów nie zmarnować, dokupuje H. bez skrupułów zwykłą żywą sarnę, która z powodzeniem występuje jako „lama"! Dla usprawiedliwienia swego ojca przytacza H., że obok ich budy z tą „lamą" stała buda z napisem: „Hamburg bei Nacht" („Hamburg w nocy"), do której z przodu puszczano za 8 fenigów widza do ciemnej budy, a z tyłu go wypuszczano: był więc w Hamburgu i było ciemno jak w nocy! I ta buda robiła też „złote" interesa!

Powoli wchodzi H. w styczność z różnymi dostawcami dzikich zwierząt. Głównem, a zdawało się wówczas nigdy nie wyczerpanem źródłem tych transportów, był angielski Sudan, a jednym z głównych dostawców: niejaki Lorenco Cassanova, mieszkający w Wiedniu i robiący na własny koszt ekspedycje do Sudanu dla łapania żywych zwierząt, które potem rozsprzedawał do ogrodów zoolo-

gicznych, jakie wówczas wszystkie znaczniejsze miasta zaczęły zakładać, a także podróżującym menażerjom i cyrkom.

W r. 1870 odbierał H. (syn założyciela firmy — autor książki) największy taki transport w Suezie od Cassanovy, składający się z następujących zwierząt: 1 nosorożca, 5 słoni, 2 afrykańskich dzików brodawkowych, 4 świnek ziemnych (Erdferkel), 14 żyraf, 12 antylop, 4 bawołów, 60 większych i mniejszych drapieżnych zwierząt (w tem 30 hien, 7 młodych lwów, 8 leopardów) 26 strusi (w tem 16 starych), 20 wielkich klatek z małpami i ptakami, 72 kóz mlecznych nubijskich. Przez 42 dni, właściwie nocy, posuwała się ta kolosalna karawana uzupełniona jeszcze stoma wielbłądami i trzodą kilkuset mlecznych kóz i owiec, dostarczających mleka dla połapanych niemowląt i odpowiednią ilością ludzi z Kassali z nad granicy Abissynji do portu morza czerw. Suakin.

H. twierdzi, że transport zwierząt z pustyni do najbliższego portu, a nawet i dalej okrętami i kolejami jest o wiele trudniejszem i ryzykowniejszem przedsięwzięciem, niż samo łapanie.

Do łapania dzikich zwierząt zakłada ekspedycja główną stację w odpowiedniem miejscu nad wodą w Sudanie lub Abissynji, zaopatrzoną w odpowiednią ilość ludzi-tubylców, wielbłądów, kóz i owiec mlecznych. Z głównej stacji rozchodzą się specjalne drobniejsze wyprawy, prowadzone przez tubylców-specjalistów, zaopatrzone taksamo w odpowiednią ilość ludzi, wielbłądów i kóz. — Samo łapanie odbywało się w tych czasach na 3 sposoby: przez dopędzanie konno i odbijanie od stada młodych sztuk z ewentualnem odstrzeliwaniem matki broniącej małe (słoń — nosorożec), na łapki (małpy), t. j. w budach z przynętą o spuszczanych z ukrycia drzwiczkach i w doły kopane na przesmykach (hipopotamy). Stosunkowo prędko po złapaniu oswajają się młode zwierzęta a nawet i niektóre starsze (żyrafy, strusie, żebry) i biorą pokarm nawet z ręki.

Oryginalny wygląd przedstawia obóz głównej stacji: do palm na łańcuchach przywiązane stoją młode słonie, hipopotamy, żyrafy, antylopy; nosorożce, lwiątka i strusie biegają swobodnie po obozie. W prostych klatkach na miejscu zbitych, mieszczą się małpy i ptaki. Po kilku miesiącach pobytu na miejscu stacji głównej rozpoczyna ekspedycja najtrudniejszą część całej wyprawy, t. j. pochód do najbliższego portu. (Dla uniknięcia upału pochód odbywa się tylko nocą). Większe zwierzęta prowadzone są na sznurach i łańcuchach przez 2 lub 3 ludzi, mniejsze i ptaki są w klatkach niesione przez wielbłądy, z których oprócz tego 30 do 40 sztuk niesie zapas wody w skórzanych worach. Młody hipopotam 2—3 letni (1000 do 1200 funt.) odbywa podróż tę w kołysce z drągów, związanych ze sobą świeżą skórą z takąż nakrywą. Klatka taka zawieszona jest na dwóch drągach między dwoma wielbłądami. 6—8 dalszych wielbłądów, niesie wodę specjalnie przeznaczoną dla niego do codziennej kąpieli w skórzanej wannie. Można sobie wyobrazić, jak wolnem tempem posuwa się taka karawana! Mimo wszelkie ostrożności wielka część złapanych zwierząt nie dochodzi do portu, albo ginie w krótce po złapaniu ze strachu, albo w drodze z gorąca, zwłaszcza zwierzęta w klatkach trzymane. Po 30—40 dniach dochodzi karawana do portu, rozlokowuje się pod miastem w pobliżu studni, i czeka na przybycie statku, który dowozi transport do Suezu, gdzie następuje przeładowanie, albo na wielki indyjski okręt, albo na kolej do Aleksandrji i dopiero tu na statek do Tryjestu, skąd w 9 dniach dochodziły resztki transportu sprzedawanego częściowo już od samego Tryjestu, na Wiedeń, Drezno, Berlin do Hamburga po 3 miesięcznej podróży!

Przy wagonowaniu transportu Cassanovy w Suezie opisuje H. ciekawy epizod ze strusiami: Gdy H. z bratem wyprowadzili z podwórza hotelowego największego strusia, trzymając go za obydwa skrzydła, aby go pierwszego wprowadzić do wagonu, reszta strusi (25 sztuk), chodzących swobodnie z trzodą kóz dojnych po podwórzu, wyrwała się z podwórza i znikła z oczów na horyzoncie w piaskach pustyni, przyczem i senior prowadzony przez Hagenbecków, wywróciwszy obydwóch na ziemię, wyrwał się i poszedł za stadem. H. uważał całe stado za stracone, ale nim się z przerażenia opamiętał, zobaczył, że dwóch ludzi pilnujących całą trzodę, siada na wielbłądy i całą trzodę wypędza śladem strusi. W krótkim stosunkowo czasie powróciła cała trzoda ze wszystkiemi strusiami w swem środku, które między kozami dały się z łatwością połapać i zawagonować.

W 42 dniach pochodu tak się przyzwyczaiły do kóz, z któremi szły, że gdy się trzoda do nich w pustyni zbliżyła, to one z widoczną radością zaczęły z rozpostartemi skrzydłami, jakby w tańcu, ją okrążać, aż się z nią złączyły.

W celu łapania pawianów robią przy wodzie, dokąd te małpy co wieczora ze skalistych wzgórz zchodzą, obszerną budę z silnych pali, do której na przynętę sypią proso (durha); drzwiczki na sznurze są podniesione i przez człowieka z ukrycia w danej chwili spuszczane. Łapią się przeważnie najstarsze samce, które przy swej żarłoczności nie dopuszczają innych do przynęty z wyjątkiem jednej zawsze tylko faworyty, z haremu swego wybranej samicy, którą widocznie protegują. Jako dowód braku inteligencji u tych małp przytacza H. następujący wypadek. Przy łapaniu wypuszcza się zwykle samice i młode, które ukradkiem za samcem wcisną się czasem do budy. Otóż jeden z jego agentów złapał 3 razy raz po razu tę samą samicę ze szramą na nosie. Widocznie potrafiła sobie każdorazowo w stadzie wywalczyć miejsce faworyty, protegowanej przez najstarszego w stadzie samca!

Rzadko się przecież zdażyć może, aby jakiekolwiek zwierzę w tak krótkim przeciągu czasu i w tem samem miejscu, choćby tylko drugi raz do łapki weszło!

Trudno sobie wyobrazić, co się w budzie po opadnięciu drzwiczek przy zbliżaniu się ludzi dzieje! Tępemi widłami przydusza się pomiędzy drączkami budy samce za karki do ziemi, potem się je krępuje sznurami na ca-

łem ciele i taki tłumok przywiązany do drączka odnosi się do obozu i wsadza do klatki. Pawiany muszą być trzymane osobno, bo samiec słabszego samca zagryza, a samica zginie z głodu niedopuszczona przez samca do jedzenia!

Łapanie antylop „Elen" przez boerów w południ. Afryce odbywało się jeszcze przed pojawieniem się agentów Hagenbecka w następujący sposób:

W czasie, kiedy młode dochodzą już do wieku kilku miesięcy, boerzy pędzą konno upatrzone stada tak długo, aż dopędzą młode, pozostające coraz dalej za stadem, łapią je, co im się udaje wobec zmęczenia zwierząt, przewracają na ziemię, wiążą, okrywają grubemi kocami i w tej chwili zastrzykują podskórnie nieznane agentom Hagenbecka lekarstwo, od którego zwierzęta w przeciągu paru minut usypiają i w tym śnie przez 24 godzin pozostają. Tak uśpione i owinięte zwierzęta są transportowane do ogrodzeń, gdzie oczekują je krowy domowe, jako mamki. Przed rozpowszechnieniem tego zastrzykiwania wszystkie zwierzęta ginęły na udar serca w parę chwil po złapaniu. Antylopy „Elen" jedne z największych antylop, były przez boerów oswajane i używane do pociągu zamiast bydła, które wówczas tam ginęło.

Dok. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W Karakumskiej pustyni

Jak znalazłem się na ziemi azjatyckiej, w bezbrzeżnej, piaszczystej pustyni Karakumskiej, napróżno chciałbym to wyjaśnić łaskawemu czytelnikowi. Zamiar zwiedzenia nieznanych dalekich krain i pustyń południowej Rosji azjatyckiej, jak wiele innych zamiarów i przedsięwzięć w mem życiu, zrodził się we mnie nagle i jeszcze naglej był spełniony. Pewnego jesiennego a dżdżystego poranka 1899 r. wstąpiłem w Baku na pokład kołowego parowca „Olgę" i po długiem kołysaniu i bujaniu po wzburzonych falach morza Kaspijskiego, w tej porze roku zawsze burzliwego, stanąłem na chwiejnych i niepewnych nogach, morską zmęczony chorobą, w porcie Krasnowodzkim, po drugiej stronie morza. Stąd już dalszą drogę ku Merwowi i Afgańskiej granicy, odbyłem koleją, na skrzypiącej, dwukołowej arbie, konno lub też pieszo, polując po drodze. Za bazę mych polowań obrałem tym razem niziny i stepy Merwskiego okręgu i porzecze Murhabu (Murgabu). Okolice te były mi zalecane przez wielu myśliwych, jako jeszcze mało zwiedzone przez cudzoziemskich nemrodów, a mające obfitować w wielką ilość przeróżnego zwierza.

Nie mam bynajmniej zamiaru, ani ochoty nudzić cierpliwego czytelnika, szczegółowemi opisami mej podróży, w której różnie bywało, źle i dobrze, nudnie lub wesoło, ani też go bawić widokami jednostajnej a smutnej pustyni Karakumskiej, z jej wiecznie kurzącymi się wierzchołkami „Barhanów" (górek), ustawicznie ruchomemi, z miejsca na miejsce przesypującemi się lotnemi piaskami, ani zastraszać go po kilka z rzędu dni trwającemi piekielnie wyjącemi huraganami, ani zwracać jego uwagi na nagie jak czaszki szczyty pogranicznego z Persją łańcucha gór Kopet-Dagu, ani też zaciekawiać jego wzroku pięknością znajdujących się wśród bezpłodnej pustyni „oaz" pełnych żywej zieleni, kwiecia, cienistych topolowych alei, pysznych parków, owocowych sadów, bogatych winnic, plantacji przedziwnych warzyw, oraszanych za pomocą starożytnych, kunsztownych „aryków", zasilanych wodami kryształowemi górskich strumieni. Pustynia to strona przeróżnych niespodzianek!

Celem mej podróży w te okolice było przedewszystkiem myślistwo, chęć zwiedzenia nieznanych puszcz, zagłębienia się w ich tajemną głębię, wyszukania w ich sercu nieznanego zwierza. Stanąć z nim do walki, doznać nowych wrażeń życia myśliwskiego, a użyć przedewszystkiem do syta łowów, zaspokoić chciwość łowiecką. Jak się wywiązałem z tego, cierpliwy czytelnik Łowca miłego, nie długo się o tem dowie.

Najpierw starałem się wniknąć w życie tubylców, których chciałem użyć do mych celów i zamierzeń. Tekińczyk czy też Turkmen nie jest myśliwym z powołania, a jeżeli i zajmuje się myślistwem, to czyni to więcej z potrzeby zarobku, traktuje łowiectwo jak zyskowny proceder, więc też nie przebiera w środkach i stosuje do niego wszelkie sposoby. Zastawia sidła, potrzaski, pułapki, żelaza, kopie zdradzieckie, jamy i doły, łowi zwierza na przynęty, a złapanego dobija pałką, kindżałem lub dzidą, używając palnej broni w ostateczności zaledwie. Zdobyte w ten sposób skóry zwierzęce: jak wilka, szakala, lisa, antylopy, suhaka a nawet wielkich kotów jak tygrysa, pantery lub barsa, wywozi na rynki miast handlowych Asehabadu, Merwu, Buchary, Baku, a nawet afgańskiego Heratu, gdzie zbywa je za marne srebrniki, lub wymienia na bezwartościowe świecidła i błyskotki. Nagromadzone i złożone na bazarach tych grodów azjatyckich w wielkie jarusy skóry, dają na wstę-

pie obcemu przybyszowi jasne pojęcie o tej masie zwierząt, jaka żyje w tych przestrzeniach pustynnych. Ta ilość skór przeważnie szakalich, już nie tylko zadziwia widza, lecz wprost go przeraża swym ogromem. O tej masie tych wstrętnych plugawców, już w pierwszy wieczór pobytu mego w Merwie, mogłem się przekonać, gdy z zachodem słońca i zapadającym zmierzchem z każdego kąta, z każdej dziury, krzewu, zarośli i bliskiej oczeretowej dżungli, nagle tysiące płaczliwych głosów i wycia przeraźliwego ogłuszały całą okolicę. A gdy niekiedy na chwilę zamilkła ta wrzawa, dość jednego było krzyku, by cała okolica okropnym odpowiedziała wrzaskiem. — Miałem w mej eskorcie młodego Turkmena, pasjonowanego amatora drażnienia i pobudzania szakali do wstrętnych ich koncertów. Niekiedy wracając nocą z dalekiej wycieczki, chciałem nudę podróżną rozpędzić piosnką, lecz zaledwie otworzyłem usta, już na mój głos zaakompanjowała przeraźliwym wrzaskiem okoliczna zgraja tych śmierdzieli. Wszędzie ich tu pełno, jak wyżej wspomniałem, lecz spotyka się ich więcej na nizinach i w wilgotnej dżungli i na porzeczach, jak w górach i suchych miejscowościach. Lecz nie tylko szakali jest tu moc wielka, nie mniej tu wszędy nartafia się na ogromne stada dzików, żyjących w błotach i kniejach oczeretowych. Tu też zapędza się w pogoni za nimi bars, pantera i tygrys. — Dżungla pełna bażantów obrączkowych, rysi, lisów, wilków, dzikich kotów, jeżozwierzów, kun leśnych, nie brak też jadowitych gadów, ogromnych węży, żmij, jaszczurek, żółwi, skurpionów i tarantul.

Wody i błota roją się w czasie przelotów od przeróżnego ptactwa. Piękne czerwonaki, brzydkie pelikany, czarne kormorany, śnieżne łabędzie, szare żórawie, gęsi, czaple białe, siwe i purpurowe, brodzą po wodach a na trzęsawiskach i błotach uwijają się za zdobyczą pożywienia długodzióbe i długonogie błotniaki. W stepach tabuny dropi, stada strepetów i parkami suhaków (antilope saiga) wszędzie znaleźć nie trudno. Od świtu do ciemnej nocy wszędy życia pełno, nie milkną pokrzyki, świsty i klangory ciągnących na żerowiska stworzeń. — Turkmen, Tekinczyk lub Sart leniwy, nie strzela ptactwa i dzików, jemu też można zawdzięczyć to ich szerokie rozprzestrzenienie się tutaj. Dopiero myśliwy, ze stron dalekich tu przybyły, wniósł w ich harmonijne współżycie popłoch i trwogę, nauczył je czujności nad swem bezpieczeństwem i życiem.

Najsroższym, lecz zarazem najwspanialszym zwierzem tych pustyń jest stały ich mieszkaniec tygrys, król i władca dżungli i puszcz oczeretowych. Ani rozmiarami, ni budową cielska i muskułów, ni pięknością ubarwienia skóry, tem mniej siłą odwagą i krwiożerczością nie ustępuje on swemu krewniakowi, żyjącemu w sąsiedniej indyjskiej dżungli, bengalskiemu tygrysowi. W Merwie pokazywano mi tygrysie skóry do 3½ arszynów do osady ogona mierzące, a nawet jeden kolosalny egzemplarz mierzył z górą 5 arszynów z ogonem, o pazurach jak stalowe haki zagiętych.

Drugim, strasznym rabusiem tych okolic jest również stała ich mieszkanka, piętnista pantera (felis untia) i jej bratni bars (f. irbis). Pantera, przepiękne stworzenie o ciemno oranżowym kolorze jedwabistej skóry, z wyraźnie występującemi na całem ciele biało-czarnemi cętkami i długim ogonie, stanowiącym ⅓ długości całego

Najpiękniejsze w poleskiej kniei dublety

Wspomnienia z niedalekiej przeszłości

napisał Poleszuk

Dokończenie

— No, narobiliśmy tu huku po puszczy, ale mamy się czem pochwalić — wołała uradowana, oglądając z szacunkiem wspaniale rozciągniętą na mchu leśnym, stygnącą już ofiarę, a potem podchodząc ostrożnie do parskającego jeszcze w śmiertelnych drgawkach drugiego, mniejszego drapieżnika.

Psy tymczasem operowały w świerczynie martwego kozła. — Chodźmy do twojego trofeum — zaproponował Orda, gdy się już nacieszyli widokiem zabitych rysi.

Ali pobiegła i odpędziła psy, duszące zajadle martwe zwłoki kozła.

„Lutnia" i „Spiczka" — każda w inną stronę, ciągnęły suche badyle tylnych nóg koźlich, a „Hałas" z „Dunajem" operowały gardło znieczulonej już przez śmierć ofiary.

Kozioł okazał się też pięknem trofeum, z silnie upalonem porożem.

Orda przypomniał sobie zagadkowe strzały od strony Mykity i Semena:

— I do czego też oni mogli strzelać? Nic nie rozumiem. Semen napewno nie strzeliłby, wiedząc, że zwierzyna może wyjść na nas? Coś tam musiało zajść nieprzewidzianego.

To mówiąc, wziął z rąk Ali jej strzelbę i wyjąwszy ładunki, zatrąbił na lufach, a echo tego sygnału biegło w dal nieskończoną, odbijając się po tysiąc razy po pniach sosnowych przestworzy leśnych. Po paru minutach taki sam głos przybiegł do nich z głębi boru.

— Idą — uspokoił się Orda. Więc usiedli pod grubą sosną na mchu, pieszcząc się z łaszącemi się do nich psami.

Po kilku minutach posłyszeli rozmowę i kroki idących, ale gdy ci wyłonili się z gęstwy leśnej, ze zdumieniem zobaczyli pomiędzy Semenem i Mykitą, trzecią dziwną postać oberwańca w bolszewickiej papasie, z podwiązaną ręką, obwiniętą szmatami.

Semen z daleka już śmiał się i z ożywieniem raportował:

— Ot, jakoho zwiera my w lesu złowyły!

— A to co? zdumiał się Orda i oboje wstali z Alą.

— Bolszewik! — Śmiał się ucieszony Semenek. Nastojaszczyj komunist! — informował podniecony i z ożywieniem opowiadał w poleskiem narzeczu:

— Jak tylko psy ruszyły kozła, my zaraz pobiegli z Mykitą na trybę pilnować, czy nie przeskoczy on do drugiego kwartału. Kiedy tak stoim i słuchamy jak psy

zwierza. O ile pantera ustępuje tygrysom w wzroście, budowie i sile, o tyle znów przewyższa je okrucieństwem, zręcznością, żądzą krwi i mordu, nawet gdy nie jest głodną napada na wszystko na swej drodze spotkane, lub jej spokój zakłócające, a raz zakosztowawszy ludzkiego mięsa, staje się straszną plagą danej okolicy, czyha na drzewie na przechodnia, morduje na pastwiskach pasterzy, porywa z aułów dzieci, wśród białego dnia i wśród ludzi.

Kraje między morzem Kaspijskiem, Aralskiem, Amu-Darją-Kopet-Dagiem i granicą Afganistanu, myśliwi dzielą na osobne rejony, stosownie do ich zwierzostanu i stosują do nich różne metody łowów. W stepach gonią chartami suhaka, a sokołem łowią dropie i strepety — w oczeretach polują na dziki z gończemi kundysami, w dżungli wydeptują bażanty — w górach podchodzą kozły i barany — a wielkie koty biorą na przynęty.

Góry Kopet-Dagu. Ciągnące się na całem pograniczu Persji łańcuchy gór Kopet-Dagu, obfitują w kozły i dzikie barany, archarami mylnie tu zwane, gdyż prędzej są to ovis Karelini, niż O. Argali, jak mogłem sądzić po widzianych rogach u myśliwych tamtejszych. Jakkolwiek góry te nie opierają swych szczytów o niebiosa i w wielu miejscach są zupełnie dostępne, dla mnie, stałego mieszkańca płaszczyzn stepowych, okazały się w większości niedostępne i pozbawiły mnie tych rozkoszy myśliwskich, o jakich marzyłem. Wszelkie próby podłażenia do paszących się na urwiskach skał tabunów owiec i koziorożców, nie odnosiły pożądanych skutków, więc po kilku próbach zrezygnowałem z daremnego wdrapywania się na szczyty skał i poprzestałem na pięknym widoku wspaniałego rogala-brodacza barana, stojącego na samym kancie obrywistej skały, gdzieby zaledwie mógł siąść orzeł. Piękności wspaniałego zwierzęcia oddałem mój hołd powiewem czapki, na co, jak mi się zdawało, kiwnięciem ogona mi odpowiedział i dał szalonego susa w przepaść skalną. Przykry zawód z baranami nagrodziły mi stada napotykanych często na płaskowzgórzach dzejranów (antilope subgutturosa). Piękne te antylopki nie łatwo dawały się podejść na strzał dogodny, są płochliwe i czujne. Raz udało mi się z poza skał podejść do czatującego na skłonie góry koziołka. Miałem go o 100 kroków przed sobą spokojnie stojącego, z zwróconą główką w przeciwną stronę. Wziąłem go na muszkę mauzera i pociągnąłem za cyngiel. Po strzale dał susa, jakby chciał przesadzić przed sobą wysoką przegrodę i znikł mi z oczu. Huk strzału, odbity głośnem echem o przeciwległe skały, zawrócił stado wprost na mnie. Zdążyłem zrepetować sztucer, wziąć na cel najbliższą sztukę obok przebiegającą i wygarnąć głośno do niej. Najakuratniej kula trafiła w kamień pod brzuchem koziołka, rozprysła się, a zwierzątko zdrowe skryło się za skałę. Kozioł, zabity pierwszym strzałem, leżał w bliskim obrywie przeszyty na wylot kulą przez szyję.

C. d. n.



gonią, a „gnały jak połagajetsia", patrzym, a tu jakiś z karabinem — „szmyg przez trybu". — Ja za nim, a Mykita za mnoju. — Stój! — wołam, a ten dalej ucieka. Stój! — kryczu, — a to strelaty budu! — a ten dalej ucieka. Ja i puścił za nim jeden patron śrutu. Wtedy on stanął, zmierzył się do mnie z karabinu i puścił mnie pulu koło ucha. Ehe, myślę sobie, to ty taki — i jemu puścił loftkami po ręku, kiedy repetował karabin do drugiego strzału. Karabin po moim strzale tak i poleciał jemu z ręki, ale w powietrze wystrzelił raz jeszcze. Ja założył jeszcze dwie pali do swojej dubeltówki i krzyczę: zdawajsia!

— Zdajuś — ten odpowiada, a krew tak i leje się jemu czerwona z ręki. My wtedy podeszli z Mykitą do niego zabrali karabin, rękę szmatami przewiązali i prowadzim

— To ty będziesz z tej bandy, co wczoraj na pociąg napadali — pytamy. A on powiada, że nie ma nijakiej bandy, a wyszedł na ochotu do lasu. Tak ja do Mykity: — Czy znasz ty jego? A Mykita i z rodu jego nigdy nie widział. Znaczy ty bandit — powiadam, a on mówi, nie bandit, tylko przyszedł z daleka na ochotu. No, znaczy, jak zdaleka, tak ty i bandit — i prowadzim do panów. W drodze my posłyszeli trąbkę. Znaczy pan nas zwali. Ja odpowiedział i ot my przyszli, a tego bandita przyprowadzili."

Przyprowadzony ponuro patrzał w ziemię i obojętnie słuchał elekwencji Semena, a krew ze zranionej ręki przesączała się już nazewnątrz grubych zwojów szmat.

— Więc cóżeś ty robił w lesie z karabinem? — zapytał go po rosyjsku Orda.

— Ja ochotiłsa — odpowiedział czysto rosyjskim akcentem.

— A skądżeś ty?

— Ja z daleka — odpowiedział lakonicznie.

— No kiedyś ty z daleka, to pójdziesz pewno wysoko — pocieszył go Orda.

— Pomiłujtie, pan. Ja nie winowat — próbował wzbudzić litość.

— No czyś ty winowat, czy nie winowat, to rozbierze policja, a tymczasem nie próbuj uciekać, bo niedaleko uciekniesz.

— Trzeba mu opatrzyć rękę — wtrąciła się Ali — i zabrała się do rozwijania zakrwawionych szmat bolszewika. Z chustki swojej zrobiła czyste bandaże i umiejętnie obandażowała rannego.

Orda polecił Semenowi pilnować go, a sam z Mykitą poszli w świerczynę i za chwilę wyciągnęli dwa zabite rysie. Semenek na ich widok aż zapiał ze zdumienia, a kiedy złożyli je przy wyciągniętym z krzaka koźle,

DR STANISŁAW KOŹMIAN REJCHER

Pies

Ciąg dalszy

IV. Grupa psów pasterskich.

Grupa psów pasterskich, jest najstarszą grupą psów udomowionych i dzieli się na kilkadziesiąt ras.

Psa pasterskiego nie wolno identyfikować z równie bardzo dawnym psem owczarskim. Ostatni pilnował stado w ściśle określonych granicach, natomiast pies pasterski bronił i trzodę i pasterza w każdej miejscowości i w najrozmaitszych warunkach.

Pies pasterski był w czasach przedhistorycznych koniecznym człowiekowi.

Skuteczna obrona trzody i pasterza przed przebiegłym szybkonogim i odważnym nieprzyjacielem — wymagała równie szybkiego, przebiegłego, mądrego i odważnego obrońcy. Ponieważ walki, względnie napady przeważnie miały miejsce w nocy — a pasterze, na równi z psami brali czynny udział w odpędzaniu krwiożerczego wroga, więc psy ich były przeważnie maści białej, w celu łatwiejszego odróżnienia ich podczas ciemnej nocy.

Psy pasterskie i dzisiaj są też naogół białe.

Polskie psy pasterskie z okolic Nowego Targu, Poronina są białej maści. Czarne psy pasterskie nazywano u nas „kruczkami" — od ubarwienia kruka.

Psy pasterskie rozsiane były po całej Europie od centralnej Azji począwszy.

Grupa psów pasterskich wraz z grupą dogów tworzy jedną rodzinę. Za wnioskiem tym przemawia olbrzymie podobieństwo psa pasterskiego do psa tybetańskiego, który, jak w poprzednim rozdziale podałem, jest produktem krzyżowania psa azjatyckiego z wilkiem tybetańskim — canis niger.

Czarny pies tybetański do złudzenia przypomina Nowo-Fundlandczyka, a biały z blado żółtemi czasami plamami na uszach, zupełnie podobny jest do naszego tatrzańskiego psa pasterskiego, tak zwanego Liptaka i do węgierskiego Kuvasza.

Na wschodzie Tybetu są też psy większe od naszych psów pasterskich i przypominają assyryjskiego doga. Pochodzenie wschodnich psów tybetańskich jest okryte tajemnicą. Właściciele ich, ortodoksi-buddyści nie wyjawiają, skąd je nabywają, lub skąd pochodzą.

Wogóle w wielkim Tybecie spotkać można dużo odmian psów.

Najwięcej podobieństwa z często widzianym typem psa tybetańskiego wykazuje pies pasterski Lezginów i Jakutów. Są to psy bardzo silnie zbudowane, przeważnie białej maści, o gęstej wełnistej sierści na całem ciele prócz łba, na którym znajduje się krótkie, gładkie owłosienie.

Europejski pies pasterski podobny do tybetańskiego, względnie psa Lezginów i Jakutów, to polski pies pasterski, t. zw. Canis domesticus pomeranus i węgierski Kuvasz. Kuvasz i Liptak, to najbliżsi krewni. Różnią się od tybetańskich tylko mniejszym wzrostem.

Pies mongolski w Chinach, również z grupy psów pasterskich, jest przeważnie czarnej maści, rzadko z domieszką białej sierci i podobny jest do Nowo-Fundlandczyka.

---

wszyscy, nie wyłączając i rannego bolszewika z zainteresowaniem oglądali wspaniałe trofea.

Po opowiedzeniu sobie ze wszystkiemi szczegółami przebiegu polowania, wydobyli z plecaka zapasy spożywcze, a zakropiwszy, jak zwyczaj każe, poległe ofiary z myśliwskiej manierki, rozdzielili trofea pomiędzy Mykitę, Semena i lekko rannego jeńca, który pomimo, że sam zaliczał się do trofeów, został obarczony mniejszym rysiem — ruszyli z powrotem do gajówki Mykity.

Zesmyczone psy prowadzili Orda i Ali.

Po dłuższym marszu, podczas którego Orda beskutecznie starał się wybadać rannego jeńca, wyszli wreszcie z lasu na zalaną słońcem jesiennego poranka polanę, w której środku rozłożyła się z pasieką i otaczającemi ją stożkami siana — gajówka Mykity.

Przed bramą stały dwa osiodłane, uwiązane do płotu, konie.

— Policja — zauważył speszony Mykita.

— Nie bój się. Wszystko wyjaśnimy — uspokoił go Orda.

Zanim jeszcze weszli do chaty, wyszło z niej dwóch uzbrojonych policjantów.

Orda wziął ich na stronę, Ali z całą kompanją skierował do chaty i dłuższy czas z nimi konferował, a kiedy przyszli razem do chaty, policjanci kazali bandycie zabierać się z nimi, a Mykicie na drugi dzień zjawić się na posterunek.

Ali zawinęła coś pośpiesznie w papier z wiktuałów i wetknęła w rękę zdumionemu bolszewikowi.

— Daj Boh tiebie pani carstwo niebieskoje — życzył jej na odchodnem rozczulony bandyta.

Orda coś znowu długo gadali w pasiece z Mykitą, a kiedy powrócili do chaty i napili się gorącego „czaju", poszli z Ali zasnąć parę godzin w sianie.

Po południu odwiózł ich Mykita swoją podwodą do najbliższej stacji kolejowej.

W kilka tygodni potem odbył się w Pińsku sąd doraźny, nad kilkunastu schwytanymi bandytami. Za zbrojny napad na pociąg kilku zostało rozstrzelanych, kilku skazanych na długoterminowe więzienie, reszta uciekła przez zieloną granicę do Bolszewji, a Mykita figurujący na rozprawie w roli świadka, stracił na zawsze, przepadłego bez wieści, swojego syna — Siwożkę.

A może kiedyś tajemnicza poleska knieja, z którą umie rozmawiać stary Mykita, odkryje swojemu dziecku puszczy, jaki los spotkał i jego dziecko rodzone.

Tymczasem snuje ona nieprzerwanie swój odwieczny poszum, poszum tajemniczy, szumiąc o nowych najpiękniejszych dubletach z poleskich kniei Ordy i miłosiernem serduszku pięknej poleskiej Diany — Ali.

KONIEC

Włochy też mają swego psa pasterskiego. Hilzheimer nazywa go psem pirenejskim. Przebywa w rzymskiej Campagna i Włosi nazywają go Cani da pastore marimani. Pirenejski pies dochodzi do 70 cm wysokości, ma śnieżno-białą, długą, gładką sierć, na łbie uwłosienie krótkie i podobny jest do naszego tatrzańskiego, tylko jest nieco słabszy w budowie.

Prócz Kuvasza mają Węgrzy drugiego psa pasterskiego, którego nazywają Komondorem. Komondor węgierski i syberyjska „Awczarka", są zupełnie podobne do siebie. Różnią się od psa pirenejskiego i tatrzańskiego owłosieniem. Sierć Komondora ta gęsta wełnista a łeb zarośnięty włosem. Komondor podobny jest do francuskiego psa pasterskiego Chien de Brie i angielskiego Bobtail.

Wyszczególniłem prawie wszystkich przedstawicieli grupy psów pasterskich.

Podobieństwo psów pasterskich do psa tybetańskiego jest nietylko zewnętrzne ale i pod względem usposobienia i charakteru.

Wszystkie psy pasterskie są bardzo wierne i oddane swemu panu i domowi, są nieufne w stosunku do obcych, zaczepne i odważne.

Fakt, że psy pasterskie, tybetańskie i azjatyckie pod względem charakteru i zewnętrznego wyglądu wcale między sobą się nie różnią — daje nam rozwiązanie pochodzenia tej grupy psów.

Mówiąc w poprzednim rozdziale o dogach, zaznaczyłem, że poglądy kinologów na pochodzenie dogów nie są jednolite. Mniemanie, jakoby dogi były pochodzenia europejskiego a nie azjatyckiego, poddałem w wątpliwość. że dog nie mógł pochodzić z Europy, widzi się dopiero, badając pochodzenie psa pasterskiego.

Jeżeli pies pasterski jest psem blisko spokrewnionym z psem tybetańskim, a pochodzenie psa pasterskiego jest bezsprzecznie azjatyckie, ergo i pies tybetański, jako odnoga dogów, jest pochodzenia azjatyckiego. Prawda, że Dr. Studer broni tezę o pochodzeniu europejskiem grupy psów dogów, a zatem i psów pasterskich, jednak czytając wywody Dra Studera, ma się wrażenie, że nie broni on zasady — tylko stara się podporządkować obecne swe wyniki gwałtem do tez już wypowiedzianych.

Wywody Dra Studera jednak nie są zbyt silne i przekonywujące, bo prof. Keller i Kraemer, dowodząc o pochodzeniu azjatyckiem dogów, psów tybetańskich i pasterskich — uważają dowodzenia Dra Studera, jako zasadniczo błędne i nie oparte na źródłowym materjale przyrodniczym.

Keller i Kraemer posługują się dokumentami słynnego Columelli, znanego pisarza starożytnego. Columella żył w połowie pierwszego stulecia przed Narodz. Chr. Pana i prace jego są źródłem nieocenionem dla kinologów.

Według Columelli, Rzymianie importują psa pasterskiego z najodleglejszych krain azjatyckich. Za czasów Columelli byli specjalni przedsiębiorcy, którzy trudnili się importem tych psów. Ceny, które osiągano za dobre psy pasterskie, były na one czasy bardzo wysokie. Przytaczam wyjątki z pracy Columelli — jak zapatrywano się w owym czasie na psa pasterskiego i jakiej od niego wymagano pracy.

Na wstępie dziwi się Columella — dlaczego psa pasterskiego nazywa się niemym stróżem trzody?! Czy człowiek potrafi lepiej i głośniej ostrzec, skoro złodzieje lub drapieżniki zbliżają się do trzody i domów — aniżeli pies?!

Cz wogóle istnieje i żyje więcej oddany i wierny sługa i towarzysz, mniej przekupny dozorca — aniżeli pies?!

Czy znajdziemy uważniejszych, ostrożniejszych i więcej obowiązkowych wartowników, odważniejszych mścicieli i prześladowców drapieżników — aniżeli pies?!

Obowiązkiem rolnika jest chować psa i nawet wyróżniać go wśród innych zwierząt domowych.

Pies stróżuje na podwórzu, broni człowieka i jego dobytek żywy i martwy.

Nie każdy pies nadaje się do podwórza i do trzody. Inny musi być pies, który służbę swoją pełni na podwórzu i innym musi być ten, który pilnuje trzody koło pasterza.

Pies podwórzowy powinien być silny, posiadać donośny głos, by swem szczekaniem odstraszał napastników. Podwórzowy pies ma być czarnej maści, a to dlatego, by w dzień napastnik widokiem jego się przestraszał a w nocy znów mógł z nienacka napaść złodzieja lub drapieżnika. Pozatem pies podwórzowy nie musi być bardzo lotnym, może być ociężałym — gdyż jego funkcje odstraszanie napastnika, względnie budzenie domowników a nie ściganie i dopędzanie nieprzyjaciela.

Co innego pies pasterza. Ten powinien być białej maści — by w nocy pasterz odróżnić go mógł od drapieżników. Powinien również być więcej chyży, aniżeli podwórzowy, bo obowiązkiem jego jest nietylko wilka odpędzać od trzody, ale także pognać za wilkiem, jeżeli ten ze zdobyczą umykać będzie. Skoro wilka dopędzi musi odebrać mu łup i przynieść z powrotem pasterzowi.

Własności psów pasterskich, jakie wyżej wymieniłem, zaczerpnąwszy je z pracy Columelli, wskazują, że są one identyczne z charakterem psa tybetańskiego.

Pies pasterski więc dzięki dokumentom źródłowym, okazuje się pochodzenia azjatyckiego.

Niestety brak nam wizerunków dawnego psa pasterskiego. Mielibyśmy możność porównania go z dzisiejszym. Jako materjał porównawczy, z braku podobizn, służyły nam wykopane szkielety. Wykazały one, że dawne psy pasterskie były nieco silniejsze, aniżeli dzisiejsze, bez poważniejszych zmian szkieletowych. Brak wizerunków psów pasterskich dowodzi, że psy te były hodowane zdala od pałaców i dworów i nie pełniły służby w komnatach możnych. Ich praca, była może nie zaszczytna — ale za to odpowiedzialna i ciężka.

C. d. n.

Notatki bibljograficzne

Stanisław Kamocki. Podręcznik łowiectwa. Warszawa. Bez daty (1929). Druk Wyszyńskiego. In 8-vo. Str. 240. Z 84 rycinami. Książka ta jest — jak czytamy w przedmowie — „zapoczątkowaniem szeregu wydawnictw fachowych Instytutu Łowiectwa".

Chciałbym tu przedewszystkiem przy sposobności zauważyć, że nazwa: „Instytut Łowiectwa" nie brzmi dobrze po polsku. Powinna ona być zmieniona na „Instytut Łowiecki". Mówi się: Szkoła rolnicza, a nie: rolnictwa. Instytut meteorologiczny, a nie: meteorologji itp. (Używanie rzeczownika w 2 przypadku, zamiast przymiotnika, szerzy się niestety epidemicznie. W Małopolsce przed wojną błąd ten należał do rzadkości. Dziś roi się od niego szczególniej w pewnej gazecie codziennej, wychodzącej w Krakowie. Ekstrakt ze szpilek jodeł (!). Czemuż nie jodłowych? Albo: Ptak usiadł na gałęzi drzewa. Na jakiejż innej gałęzi miał usiąść? Ale czemuż nie poprostu: Ptak usiadł na drzewie? Język polski nie znosi takich wymęczonych określeń dwurzeczownikowych).

Kiedy mowa o języku, trudno nie wymagać od „Podręcznika łowiectwa" poprawnego używania wyrazu: myślistwo, w miejsce błędnego: myśliwstwo. Poprzestaję na tej jednej uwadze językowej. Sprawę stylu językowego książki, gdzieniegdzie niedomagającego, pomijam, bo dobry jej cel, przeznaczenie i charakter sprawiają, że wymagania stylistyki stają się tu, — sit venia verbo, — rzeczą drugorzędną. Natomiast podręcznik tego rodzaju nie powinien być wydany bez daty. Rok wydania powinien figurować jeśli już nie na karcie tytułowej, to przynajmniej pod przedmową. Brak daty, dobry do „odmładzania" romansów, jest ze względów zasadniczych i bibljograficznych niedopuszczalny w wydawnictwach o charakterze naukowym.

Książka p. Kamockiego pomyślana jest dobrze. Zestawiono w niej celowo rozmaite działy łowiectwa, jako nauki. W szerszej mierze, niż dotąd uwzględniono nadewszystko postulaty hodowlane. Jestto jej wielką zaletą. W przedmowie podnosi autor bardzo słusznie, że łowiectwo w Polsce musi nareszcie być podniesione do poziomu wiedzy i że od tego warunku zależy dalszy rozwój tej ważnej, a dotychczas zaniedbanej gałęzi gospodarstwa krajowego.

„Pod łowiectwem — pisze p. Kamocki — w czasach dawnych rozumiano sztukę zdobywania zwierzyny. Jeżeli określenie takie było właściwem w czasach, kiedy w Polsce roiło się od wszelakiej zwierzyny, to obecnie jest ono niewystarczającem, gdyż łowiectwo, jako odrębna gałąź gospodarstwa, obejmować musi też i racjonalną hodowlę zwierzyny. Łowiectwo nie różni się niczem od innych gałęzi pokrewnych, związanych z gospodarstwem rolnem, niezrozumiałą zatem jest rzeczą, dlaczego pozostaje ono u nas w zaniedbaniu, tembardziej, że Polska, jako kraj wybitnie rolniczy, osiągaćby mogła z tego źródła znaczne korzyści".

Niestety treść podręcznika nie jest traktowana równomiernie. Niektóre ustępy są zbyt lakoniczne. Być może, że liczono się z kosztami wydawnictwa. Ale w takim razie uważam za zupełnie zbyteczne podawanie rycin, przedstawiających nasze najpospolitsze zwierzęta łowne. Nie jest to podręcznik elementarnej zoologji dla młodzieży. Myśliwy, choćby początkujący, biorąc do ręki podręcznik p. Kamockiego, nie będzie tam szukał wizerunku lisa, ani sarny. Już raczej usprawiedliwione są ryciny, objaśniające rasy psów, lub odmiany bażantów.

Prócz tego zauważyć się daje pewien, szkodliwy w tego rodzaju poważnych pracach, pospiech. Np.: stylizacja tytułów. W rozdziale drugim (Przegląd zwierząt) jedne gatunki wymienione są w liczbie pojedyńczej, inne w mnogiej. Czytamy: Łoś, jelenie, sarna, kozice, dziki, niedźwiedź itd. Pospiech daje się też zauważyć w opisie zwierząt i ptaków. Dalej, autor zna np. kilka gatunków orłów, tylko jeden gatunek dzikiej gęsi, ale wśród szkodników nie wymienia ani jednego gatunku Błotniaków, powszechnie znanych, bardzo pospolitych, a tak niebezpiecznych dla naszego łowiectwa rabusiów.

Rozdział o myszołowach zaczyna się od następującej wiadomości: „Z myszołowów znane są u nas dwa gatunki: myszołów zwyczajny i tak zwany pszczołojad". Gdyby nawet pszczołojada zaliczyć do myszołowów*, to gdzież się podział Myszołów włochaty, czyli Kosmacz północny, tak pospolity u nas w zimie? Sokołem wędrownym nazwał autor ptaka zupełnie innego gatunku (str. 86, rycina 27). Rysunek, wzięty z Brehma, jest ilustracją Kuhnerta do ustępu „Jagdfalke". Nazwa ta nie oznacza Sokoła wędrownego**. Rysunek zresztą wyklucza nieporozumienie. Podręcznik naukowy nie powinien zawierać takich rażących błędów. Nie mogę ich sobie wytłumaczyć inaczej, jak pospiechem, którego jednak poważna książka nie znosi.

W końcu uwaga z powodu cytowanej przez autora literatury, z której korzystał. Nie wymienia on ani jednego dzieła polskiego. A wszakże w zakresie nauki łowiectwa posiadamy ich cały szereg, dawniejszych i nowszych. Być może, że żadno z nich nie jest idealne. Ale czy zasługują na zupełne zignorowanie? Nie sądzę. Przeciwnie, jestem pewien, że byłyby się bardzo przydały. Rzecz, rozpoczętą przez innych, można uzupełnić i udoskonalić, można zreformować w duchu nowoczesnych wymagań, jakie przyświecają p. Kamockiemu. Korzystanie z rodzimych źródeł, choćby w dziale przyrodniczo-łowieckim, w niczem nie umniejszyłoby zasług autora, twórcy Instytutu łowieckiego i pioniera kierunku hodowlano-gospodarczego w łowiectwie polskiem.

W. Z.

* Czego bynajmiej niemiecka nazwa: Wespenbussard, nie uzasadnia.

** Nazwa „Jagdfalke" przydana była, nielogicznie, tylko sokołom północnym, znanym niegdyś w Polsce, ale nie gnieżdżącym się w niej, białozorom (Falco rusticolus rusticolus i jego odmiany).

Korespondencje

Warszawa, w lipcu 1929

Szanowny Panie Redaktorze!

Z powodu artykułu p. J. Domaniewskiego pt. „Wilki w Tatrach" zamieszczonego w Nr. 11 „Łowca" uprzejmie proszę o zamieszczenie w redagowanem przez Pana piśmie następującego wyjaśnienia. „Redakcja Łowca Polskiego" nie sądzi aby popełniła wykroczenie przeciw nauce łowiectwa, dając wiarę wiadomości o pojawieniu się wilków w Tatrach i umieszczając o tem wzmiankę w Nr. 17 „Łowca Polskiego".

Wilki ubiegłej, niezwykle ostrej zimy, ukazywały się i były zabijane w takich okolicach, gdzie od niepamiętnych czasów o ich egzystencji zapomniano. (Fakty tego rodzaju były wielokrotnie w sposób nienastręczający żadnej wątpliwości stwierdzane, np. w Gościeradowie w Lubelskiem). Nie było także, zdaniem Redakcji nic nieprawdopodobnego i horrendalnego w dalszej części wzmianki pt. „Wilki w Tatrach" mówiącej o tem, że na wieść o wilkach funkcjonarjusze leśni udali się zaraz w lasy i jednemu z nich udało się zabić największego wilka, gdy reszta skryła się w gąszczach. Zdaniem Redakcji „Łowca Polskiego" każdy myśliwy, znający sposoby polowania na wilki, zareagowałby na wydającą się nieprawdopodobną wieść o pojawieniu się wilków, mniejwięcej w podobny sposób: posłałby gajowych, aby sprawdzić tropy i nie zdziwiłby się znów tak bardzo, gdyby przytem wypadkiem któremu udało się zabić wilka. Pana prof. Domaniewskiego oburza jednak podobne przedstawienie sprawy. Redakcja „Łowca Polskiego" wyraża ubolewanie, że w swej obszernej krytyce prof. Domaniewski ani słowem nie wspomniał, coby on zrobił w podobnym wypadku, pozbawił bowiem niewątpliwie w ten sposób świat łowiecki możności obznajmienia się z nowemi, dotychczas nieznanemi sposobami polowania na wilki. Redakcja „Łowca Polskiego" uważa też za konieczne zaznaczyć, że przedrukami z pism codziennych dla wypełnienia szpalt swego pisma się nie posiłkuje, niema jednak możności sprawdzania w drodze specjalnej korespondencji nadsyłanych jej krótkich i podrzędnego znaczenia wzmianek, dzieląc zresztą, jak sądzi, los ten z innemi pismami łowieckiemi i niełowieckiemi.

Wreszcie Redakcja „Łowca Polskiego" chętnie dałaby wiarę publicznym zapewnieniom prof. Domaniewskiego o największej przyjaźni z jego strony dla redagowanego przez nią pisma, gdyby nie przeczyła temu będąca w mowie krytyka prof. Domaniewskiego, której rzeczowość nie stoi w żadnym stosunku do użytego w niej tonu, a która na każdym nieuprzedzonym musi wywierać wrażenie zaciekłej i trudnej do zrozumienia w swych powodach napaści.

Racz przyjąć Panie Redaktorze przy sposobności wyrazy najgłębszego szacunku.

Walenty Garczyński
redaktor Ł. P.

Z Rzeszowskiego — wspomnienie z lat 1914—1924

Rudna, w czerwcu 1929

W niniejszej korespondencji przedstawię stosunki łowieckie z lat 1914—1924 w rewirze Rudna wielka, Rudna Mała, Rogoźnica i Wola Cicha w powiecie Rzeszowskim, tj. rewirze, w którym prawo polowania od r. 1907 należało do mnie.

W numerach 1 i 4 „Łowca" z r. 1914 pisałem ostatni raz o wymienionym rewirze. Tam dałem obraz stosunków łowieckich w latach 1907 do 1913, dziś chcę podać ciąg dalszy.

Rok 1914/15 zapowiadał się świetnie, — pamiętamy wszyscy niebywały urodzaj w tym roku, pamiętamy wielkie nadzieje rolników, nadzieje myśliwych. Dla mnie ów rok zaczął się także szczególnie pomyślnemi auspicjami. W dniach 10 i 14 czerwca „palnąłem" w lesie Rudna na podjazdach dwa kapitalne rogacze. Miałem wtedy serce pełne łowieckiej radości, a planowałem sobie jeszcze zdobyć kilka dobrych par rożków sarnich w tym pięknym rewirze — który się roił w tych czasach od sarn.

Strzały w Sarajewie były zapowiedzią nadciągającego kataklizmu. Zaczął się ponury dramat, straszny dla wielu państw, narodów, rodzin i ludzi — straszny dla całej kultury i dla łowiectwa.

Oficjalna Austrja miała zwyczaj uspokajać, to też w ostatnich dniach lipca 1914 roku przyszły tak dobre i uspakające wiadomości, że dnia 31 lipca wybrałem się w Rudnej na rogacza. Siedząc na „ambonie" i czekając na kozła, (który nie wyszedł), strzeliłem wtedy z Schönauera szelmę lisa przebierającego się przez młodą kulturę na zrębie. Jeszcze nie ściemniło się zupełnie gdy przybiegł do mnie specjalny posłaniec, wysłany z domu „co koń wyskoczy" z wiadomością o ogłoszeniu ogólnej mobilizacji. Skończyło się polowanie, skończyły się piękne nadzieje rolnika, myśliwego i hodowcy — zaczęła się wojna, o której nie mieliśmy wyobrażenia.

Powiat Rzeszowski był w kilka tygodni po wypowiedzeniu wojny zajęty przez wojska rosyjskie, które z małą przerwą w jesieni 1914 roku utrzymały się w nim do 12 maja 1915 i dopiero wielka ofenzywa Marszałka Mackensena w Karpatach i pod Gorlicami zadecydowała o końcu panowania Moskali w ówczesnej zachodniej Galicji, a temsamem i w rzeszowskim powiecie. Stosunkowo w krótkim czasie przewaliła się więc „burza wojny światowej" przez powiat Rzeszowski. Przepisów ustawy łowieckiej sołdaci rosyjscy nie znali, to też tępili każdą zwierzynę i o każdej porze i szkód zrobili nie mało, ale obraz łowiecki po inwazji rosyjskiej nie był znowu tak straszny i tak tragiczny, jak go przedstawiały początkowo przerażone rozbitki z objętych wojną terenów. Rewir Rudna wyszedł prawie nieuszkodzony pod względem łowieckim z nwazji rosyjskiej — mówię „prawie" bo ocalały sarny, zające i kuropatwy, natomiast pewne straty poniosły bażanty. Pojawiły się wtedy — od lat niewidziane w rewirze — przechodnie dziki. Takich re-

wirów jak Rudna było oczywiście więcej (nawet bardzo dużo), ale były i rewiry poważnie, albo nawet zupełnie zniszczone.

Na terenach Rudnej, tj. na terenach należących do dóbr Rudna i terenach dzierżawionych Rudna Wielka, Rudna Mała, Rogoźnica i Wola Cicha, nie było oczywiście polowań w prawdziwem tego słowa znaczeniu w roku 1914/1915 a więc i rezultat był mały: padły 2 rogacze na podjeździe (kulami), 1 zając, 1 bażant, 4 kuropatwy i 1 chróściel. Szkodników padło bardzo mało bo 1 lis, 5 kotów, 8 psów, 14 jastrzębi, 30 wron, 12 srok i 15 sojek — a szkodniki wszelkiego gatunku rozmnażały się i prosperowały doskonale w oczach ogołoconej z broni straży łowieckiej. Także i w innych rewirach ziemi Rzeszowskiej albo wcale nie polowano w roku 1914/1915 albo bardzo niewiele i ukradkiem.

Nastał sezon myśliwski roku 1915/1916. Zdawało się, że w tym czasie zabiorą się wszystkie bez wyjątku koła naszych myśliwych do energicznego gojenia ran zadanych naszym zwierzostanom chwilową inwazją rosyjską. Stało się jednak niestety inaczej.

Znaleźli się naturalnie nieliczni myśliwi - hodowcy (przeważnie wielcy właściciele lub zarządcy większych dóbr), którzy zajęli się gorliwie swymi rewirami i przez szanowanie zwierzyny, przez niewykonywanie polowań, albo ich ograniczenie, przez rozpoczęcie tępienia na nowo rozwielmożnionych szkodników, a wreszcie przez systematyczne żywienie zwierzyny podczas zimowych miesięcy starali się gorliwie naprawić zło, wyrządzone zwierzostanom przez nieprzyjacielską inwazję. Pracę w tych ciężkich czasach mieli ułatwioną — bo myślistwo i racjonalna gospodarka łowiecka miały w powiecie Rzeszowskim gorącego poplecznika i pomoc w osobie ówczesnego kierownika Starostwa w Rzeszowie ś. p. sekretarza Namiestnictwa Franciszka Leszczyńskiego, który jak najenergiczniej popierał myśliwych-hodowców, a karał dotkliwie i zwalczał konsekwentnie wszelkiego gatunku kłusowników.

Niestety wielu myśliwych nie zdawało sobie sprawy z powagi sytuacji i nietylko nic prawie nie robiło dla ratowania i podniesienia zwierzostanów, ale polowało sobie jak za najlepszych czasów. Zacietrzewienie posunęło się u niektórych tak daleko, że polując niszczyli bez zastanowienia zasiewy ozime, tak przeważnie nędzne w powiecie Rzeszowskim w 1915 roku. Zdarzyły się sprawdzone przezemnie wypadki, że podczas silnej bardzo odwilży w pierwszych dniach drugiej połowy grudnia 1915 roku w czasie, w którym skutkiem ciepła i błyskawicznego zniknięcia ogromnych mas śniegowych, wszystkie pola, a więc i pola obsiane oziminą zamieniły się w trzęsawiska — „myśliwi" ci urządzali sobie polowania w kociołki — przez co słusznie oburzyli na siebie rolniczą ludność powiatu. Sprawie łowiectwa oddali wtedy ci panowie fatalną zaiste przysługę. Wywołali bowiem u chłopów niechęć wydzierżawiania „panom" polowań okręgów spółek łowieckich.

Na terenach mego polowania, gdzie niezmordowanie pracował wtedy nad podnoszeniem zwierzostanu ś. p. leśniczy Aleksander Karczyński, nie urządzałem naturalnie w roku 1915/1916 żadnych większych polowań, bo i sam byłem wtedy czem innem zajęty i czasy w których tak obficie lała sę krew na niezliczonych polach bitew, nie były odpowiednie do urządzania polowań. Także i troska o przyszłość rewiru nakazywała mi jak największą wstrzemięźliwość w „strzelaniu" zwierzyny.

Jak już wspomniałem tereny, na których polowanie do mnie należało były dziwnie mało pod względem łowieckim zniszczone przez rosyjską inwazję i szkody w zwierzostanie były bardzo nieznaczne — bez krzywdy więc dla rewiru można było trochę zapolować, prowadząc równocześnie racjonalną gospodarkę łowiecką. Rezultat takiego polowania nie mógł być naturalnie wielki. Ogółem padło na moich terenach w tym sezonie (tj. od czerwca 1915 do końca stycznia 1916): 2 rogacze, 21 zajęcy, 23 bażantów i 76 kuropatw — razem 122 sztuk zwierzyny łownej. W końcu wspomnieć muszę, że po kilkonastomiesięcznej przerwie zaczęła moja straż łowiecka tępić na nowo rozwielmożnione szkodniki i ubiła w roku 1915/16 sztuk 112 z czego lisów 12, kotów 10, psów 7, jastrzębi 5, wron 54, srok 15 i sojek 9.

Skutkiem racjonalnej gospodarki łowieckiej w rewirze Rudna zwierzostan pomimo wojny szybko wracał do przedwojennego stanu i lata 1916, 917 i 918 zaznaczyły się tu dla łowiectwa pomyślnie: — zwierzyny łownej było coraz więcej w rewirze. Polowano oczywiście mało.

W roku 1916/1917 polowano w Rudnej dwa razy z nagonką. Raz polowano na polach na małej części terenu dnia 14 listopada 1916. Ubito w osiem strzelb 23 zajęcy i 3 kuropatwy.

Drugi raz polowano 11 stycznia 1917 w lesie. Padło w sześć strzelb 22 zajęcy.

Ogółem padło w rewirze Rudna w roku 1916/1917: rogaczy 2 (oba na podjeździe kulami), zajęcy 64, kuropatw 48, przepiórek 5, kaczek 16, cyranki 2 i krzyków 8, razem sztuk 145 zwierzyny łownej. Szkodników padło 139 tj. lisów 7, kotów 18, psów 6, jastrzębi 11, wron 84, srok 7 i sojek 6.

W roku 1917/1918 polowano z nagonką raz na polach dnia 1 października 1917. Ubito w cztery strzelby 3 zające, 24 kuropatw i 1 przepiórkę.

Drugi raz polowano dnia 20 października 1917 roku, częścią na polach, częścią w lesie. Padło w osiem strzelb: 1 słonka, 1 lis, 35 zajęcy i 22 kuropatw.

Trzeci raz polowano z nagonką w lesie dnia 31 stycznia 1918 roku. Padło w sześć strzelb 41 zajęcy.

Ogółem padło w Rudnej w sezonie 1917/1918 dzik 1, rogaczy 10 (wszystkie na podjazdach kulami), zajęcy 87, słonka 1, kuropatw 96, przepiórki 4, krzyki 3, chruściel 1 i kaczka 1 — razem sztuk 204. — Szkodników padło 141 z czego 6 lisów, 14 kotów, 3 psy, 19 jastrzębi, 73 wron, 16 srok, 3 srokosze i 7 sojek.

Ani w roku 1916, ani w roku 1917 na bażanty nie polowano.

W roku 1918/1919 polowaliśmy z nagonką dnia 16 paź-

dziernika 1918. Polowanie było urządzone z okazji szczęśliwego powrotu z bolszewji mojej siostry i szwagra mego Stan. hr. Tyszkiewicza. Polowaliśmy w „strajfy“ w 16 strzelb w słoneczny, cudny dzień jesienny. Nastrój był nisłychanie swobodny i wesoły, zwierzyny było pełno, rezultat piękny — bo padł 1 rogacz, 1 lis, 116 zajęcy, 13 bażantów i 16 kuropatw, razem sztuk 147. Nikt nie przeczuwał, że wkrótce ten piękny rewir łowiecki zostanie prawie doszczętne zniszczony.

Dnia 23 października 1918 urządziliśmy mały spacer myśliwski po polach koło remizy w Rudnej w trzy strzelby z moim szwagrem Tyszkiewiczem i dr. Adamem Midowiczem. Padło w dwie godziny 7 zajęcy, 16 kuropatw i 1 kot.

Ogółem padło w Rudnej w sezonie 1918/1919: 1 dzik, 9 rogaczy (z czego 8 na podjazdach kulami), 127 zajęcy, 13 bażantów, 1 dzika gęś i 84 kuropatw, razem sztuk 235. Szkodników 156 sztuk z czego 3 lisy, 19 kotów, 9 psów, 14 jastrzębi, 83 wron, 13 srok, 4 srokosze i 11 sojek.

Jesień 1918 roku przyniosła nam to o czem Ojcowie nasi śnili — za co lała się krew bohaterów — za co ginęły pokolenia. Bóg nam wrócił „Niepodległą Ojczyznę“.

Zdawało się wtedy, że wszystkie stany i warstwy zgodnie staną do pracy nad umocnieniem i ugruntowaniem niepodległości naszej. Ale stało się inaczej. Wtedy gdy żołnierz polski musiał swemi piersiami zasłaniać zmartwychwstałą Ojczyznę — wtedy gdy coraz groźniejsze chmury zaczęły się gromadzić nad gmachem nowej Państwowości Polskiej, wtedy odżyły wszystkie dawne nasze wady, a niepoczytalni „politykierzy“ urządzili w Polsce „komedję bezkrwawej rewolucji“ — której nikt nie chciał i której nikt nie rozumiał. Nie mam zamiaru tu nad tymi tak powszechnie znanymi faktami się dłużej rozwodzić, bo to nie należy do mego sprawozdania. Stwierdzić jednak trzeba, że polskie sejmowładztwo i partyjnictwo zdezorganizowało świadomie i zupełnie rozmyślnie wszystko w Polsce, — że cała praca dawnych pokoleń we wszystkich trzech zaborach została albo zniszczona, albo zachwiana przez rządy sejmowładcze w latach 1919—1926.

Sejm uchwalał bolszewickie ustawy, sejm wywłaszczał, upaństwawiał, rozbudowywał i likwidował, tworzył dziesiątki niepotrzebnych urzędów i mianował tysiące niepotrzebnych „niegramotnych“ urzędników, których potem się musiał pozbywać — mianował ministrów, wojewodów, starostów i komisarzy, których potem „wylewał“ gdy nie byli dość posłuszni rozkazom panów posłów suwerennych. Sejm rujnował kraj i jego obywateli, demoralizował Naród.

Te smutne rządy polskiego sejmowładztwa i partyjnictwa zniszczyły na wielkich obszarach także i nasze łowiectwo, a dziś trzeba pracy wielu lat i pokoleń aby zabliźniły się rany wtedy naszym stosunkom i naszemu łowiectwu zadane.

Pamiętna zima 1918/1919 to koniec świetności łowieckiej wielu rewirów — zdawało się, że będzie ona końcem dla rewiru Rudna. Już w roku 1918 gdy Austrja zaczęła się „rozkładać“ wałęsało się bezkarnie po kraju wielu bardzo dezerterów, a po załamaniu się „państw centralnych“ przypłynęły do Polski całe masy rozbitków z armji zaborczych. Rozbitki te wspomagane potem dezerterami z naszej armji i wszelakiego rodzaju szumowinami społecznemi, włóczyły się po całych dniach i nocach po okolicznych polach i lasach, a mając broń, strzelały wszystko co im pod lufę wpadło. Każda wieś miała wtedy „swoich dezerterów“ i „swoich kłusowników“.

Wtedy to w pamiętnych miesiącach zimowych 1918/19 i w ciągu roku 1919 została w Rudnej wybita prawie do nogi cała zwierzyna i to po okiem władz, które jednakże wtedy (tj. przed majem 1926) były w całej Polsce zupełnie bezsilne, bo jak tu tępić miały władze bandytów, dezerterów czy kłusowników gdy ten bandyta, dezerter czy kłusownik był pod „szczególną“ opieką suwerennego sejmu — więc biada staroście, czy komisarzowi, któryby śmiał ukracać ten suwerenny bandytyzm, to suwerenne kłusownictwo; zwłaszcza, że były wtedy w Małopolsce smutnej pamięci rządy „Generalnego Delegata Rządu“. Sarny w Rudnej zostały prawie całkiem zniszczone, bażanty wybito formalnie do nogi, kuropatwy strzelane na śniegu i wyłapywane w sidła zostały wtedy zdziesiątkowane, a potem skutkiem zarazy prawie całkiem wyginęły. Także i „lisi ród“ dotknięty przed rokiem 1918 świerzbem końskim wyginął tu prawie doszczętnie. Poczciwy „szarak“ najlepiej jeszcze wyszedł z tej opresji i stał się właściwie jedyną zwierzyną łowną rewiru.

Przez cały rok 1919 i przez cały rok 1920 nie polowano oczywiście w Rudnej wcale; starano się tylko chronić pozostałą przy życiu zwierzynę i zapewnić tym niedobitkom najlepsze warunki rozmnoży. Na podstawie wyjątkowego zezwolenia ubito tylko 7 sierpnia 1920 roku na podjeździe jednego rogacza, który wychodził stale z lasu na grunta dzierżawione przez sąsiada suwerena i był stale ostrzeliwany.

Dopiero przy końcu sezonu 1920/1921 tj. dnia 28 stycznia i dnia 29 stycznia 1921 urządziłem polowanie w Rudnej, na którem tylko część rewiru opolowano. Dnia 28 stycznia 1921 padło na polach w sześć strzelb 41 zajęcy, dnia 29 stycznia 1921 padło w lesie w cztery strzelby 33 zajęcy. Bażantów i kuropatw nie widziano wcale, sarn mało.

Razem padło w sezonie 1920/1921 75 sztuk zwierzyny łownej tj. 1 rogacz i 74 zajęcy.

W roku 1919/1920 ubito w Rudnej zaledwie 29 szkodników tj. 3 koty, 1 psa, 2 jastrzębie, 13 wron, 6 srok i 4 sojki.

W roku 1920/1921 ubito 7 kotów, 4 psy, 6 jastrzębi, 38 wron, 9 srok, 2 srokosze i 3 sojki, razem szkodników sztuk 69.

W roku 1921/1922 polowaliśmy w Rudnej z nagonką w dniach 28 i 29 grudnia 1921. Pierwszego dnia polowano na polach. W dziesięć strzelb padło 60 zajęcy. Drugiego dnia polowano w lesie. Padło w dwanaście

strzelb 1 rogacz, 3 lisy i 65 zajęcy. Razem przez oba dni 1 rogacz, 3 lisy i 125 zajęcy.

Ogółem padło w sezonie 1921/1922 w Rudnej 1 dzik, (ubity 8 sierpnia 1921 przez mego szwagra Tyszkiewicza późnym wieczorem, gdy wracał z podjazdu na rogacza), 1 rogacz, 139 zajęcy i 1 kuropatwa, razem sztuk 142 zwierzyny łownej, tudzież 136 szkodników tj. 2 lisy, 10 kotów, 9 psów, 11 jastrzębi, 88 wron, 11 srok i 5 sojek.

W sezonie 1922/1923 odbyło się polowanie z nagonką w dniach 27 i 28 grudnia 1922. Dnia 27 grudnia padło na polach w dziewięć strzelb 32 zajęcy. Dnia 28 grudnia padło w dziesięć strzelb na polach i w lesie: 1 lis i 55 zajęcy. Razem przez oba dni 1 lis i 87 zajęcy.

Ogółem padło w roku 1922/1923 1 rogacz (na podjeździe kulą) i 104 zajęcy, razem 105 sztuk zwierzyny łownej i 122 szkodników, tj. 1 lis, 16 kotów, 8 psów, 10 jastrzębi, 69 wron, 16 srok i 2 sojki.

W sezonie 1923/1924 polowaliśmy w Rudnej z nagonką raz dnia 21 listopada 1923 po polach dworskich i gminnych w Rudzie Wielkiej. Zabiliśmy wtedy w cztery strzelby 37 zajęcy. Drugi raz polowaliśmy w szesnaście strzelb dnia 19 stycznia 1924 roku na polach i w lesie. Padło 52 zajęcy. Polowanie się „nie udało" nie dla braku zajęcy bo było ich w tym roku więcej w rewirze Rudna jak w roku 1922, ale dlatego, że polowaliśmy tym razem przeważnie na wysokim lesie zdala od pól, gdzie mioty zajęcze są na ogół słabe. Nad tem, że wiele zajęcy unikło śmierci, nie płakał zdaje się nikt z uczestników polowania.

W sezonie 1923/1924 padło w Rudnej ogółem zwierzyny łownej 89 zajęcy, a ze szkodników 8 kotów, 4 psy, 5 jastrzębi, 21 wron i 4 sroki razem 42 szkodników.

Ostatnie polowanie urządziłem w Rudnej w sezonie 1924/1925, a mianowicie dnia 31 stycznia 1925 roku. Polowaliśmy parę godzin na gminnych polach w Rudnej Wielkiej w strasznych warunkach klimatycznych w sześć strzelb. Padło 28 zajęcy.

W sezonie 1924/1925 padło ogółem w Rudnej zwierzyny łownej sztuk 29 tj. 1 rogacz (na podjeździe kulą) i 28 zajęcy. Szkodników padło niestety z różnych przyczyn bardzo mało bo sztuk 18 tj. 4 koty, 2 psy, 3 jastrzębie i 9 wron.

Kończąc niniejszą kronikę polowań muszę podziękować na tem miejscu towarzyszom łowów w Rudnej: JW. Panom Janowi Jędrzejowiczowi ze Staromieścia, Dr. Adamowi Midowiczowi prokuratorowi w Rzeszowie i Stefanowi Ścibor-Rylskiemu z Babul za pomoc i cenne rady, jakich mi zawsze użyczać byli łaskawi, czy to chodziło o zorganizowanie polowań, czy o ochronę i hodowlę zwierzyny.

Prawo polowania w rewirze Rudna, tj. na gruntach i lasach dóbr Rudna, przeszło z dniem 1 lutego 1925 w ręce kuzyna mego Stefana hr. Dąmbskiego. Nadmienić tu muszę, że skutkiem rozagitowania włościan nie zostały mi wydzierżawione w ostatnich latach polowania okręgów spółek łowieckich w Rudnej Małej, Rogoźnicy i Woli Cichej. Polowania te zdołał znowu mój kuzyn na szczęście dla rewiru wydzierżawić, a utrzymał się także przy polowaniu okręgu spółki łowieckiej w Rudnej Wielkiej, podzielonym obecnie na dwa okręgi, tj. na Rudnę Wielką i na Pogwizdów.

Stosunki łowieckie w rewirze Rudna poprawiają się pod ręką hr. Dąmbskiego, wybitnego myśliwego i hodowcy zwierzyny z każdym rokiem i można mieć pełną nadzieję, że potrafi on podnieść zniszczony w latach 1919/1920 rewir nie tylko do dawnej świetności, ale że potrafi postawić go w rzędzie najpiękniejszych naszych polowań.

Oby tylko stosunki się wreszcie ustaliły, a Ten, który złamał anarchję sejmowładztwa i na którego są oczy całego społeczeństwa zwrócone już zrobił „porządek" w Polsce.

Cześć świętemu Hubertowi!

Stanisław Korwin Milewski
Delegat M. T. Ł.

Komunikaty

Zawody Strzelecko-Myśliwskie w Grudziądzu o nagrody Zakładów Amunicyjnych „POCISK", S. A. w Warszawie.

W dniach 29-go i 30-go czerwca, odbyły się w Grudziądzu wielkie zawody Strzelecko-Myśliwskie, organizowane przez Z. A. „Pocisk" S. A., przy wydajnej pomocy miejscowego Klubu Myśliwskiego i udzieleniu strzelnicy przez Bractwo Strzeleckie.

W zawodach uczestniczyło zgórą 100 osób z Pomorza, Poznańskiego, a nawet Warszawy.

Wyniki strzelań, z broni myśliwskiej bardzo dobre. „Nagroda Otwarcia" Z. A. „Pocisk" S. A. — dystans 15 m 30 talerzyków, 3 serje po 10 sztuk.

1. P. Biller z Linówki — 30 trafionych,
2. P. Hönig z Zakrzewa — 29 trafionych,
3. Por. Stef. Starnawski z C. W. K. Grudziądz — 29 trafionych.

„Nagroda Standu" Z. A. „Pocisk" S. A. — dystans 15 m 20 talerzyków.

1. P. Hönig — 20 trafionych,
2. P. Biller — 20 po rozgrywce,
3. P. Mączkowski Antoni — 19 trafionych.

„Nagroda Główna" Z. A. „Pocisk" S. A. — dystans 15 m 50 talerzyków.

1. P. Hönig Detlof — 50 trafionych (51 strzałów),
2. Por. Starnawski St. — 48 trafionych,
3. P. Czapczyk z Grudziądza — 46 po rozgrywce,
4. P. Mieszkowski — 46.

Strzelanie małokalibrowe dla pań — dystans 50 m, 3 serje po 10 kul.

1. P. Halina Kalinowska — 262 p.,
2. P. Czapczykowa Konstancja — 216 p.,
3. P. Mjr. Mańkowska.

Najmilszą niespodzianką dnia, był wynik p. H. Kali-

nowskiej, która w strzelaniu z broni małokalibrowej bije wszystkich zawodników męskich, osiągając 266 p.

2. Dyr. Pykalski — 262, 3. Kpt. Kruczek Juljan — 255 p., 4. Mjr. Dąbrowski Leon — 254 p., 5. Dyr. Kędzierski Jan — 245 p., 6. Kpt. Ostapowicz — 244 p., 7. Płk. Jarnuszkiewicz Czesław.

Najwyższy wynik poza konkursem Jurjewicz Tadeusz 275 p.

Strzelanie Bractwa Strzeleckiego do tarczy o nagrodę Z. A. „Pocisk“ S. A., na 175 m.

1. Matuszewski — 58 p. na 60,
2. Grobelny — 57 p.,
3. Czapczyk — 57 p.

Tarcza orderowa Z. A. „Pocisk“ S. A.

1. Górski — 20 p.,
2. Koźnicki — 20 p.,
3. Prezes Peikert — 19 p.

Tarcza obywatelska.

1. Grobelny — 55 p.,
2. Matuszewski — 54 p.,
3. Koźnicki — 54 p.

Strzelanie o kubek.

1. Grobelny — 57 p.,
2. Górski — 50 p.,
3. Polley — 49 p.

Rozdania nagród dokonał p. Prezydent Włodek, podnosząc celowość akcji propagandowej Z. A. „Pocisk“ S. A.

Zaznaczyć należy, że strzelanie odbyło się wyłącznie amunicją myśliwską i małokalibrową, wyrobu Z. A. „Pocisk“ S. A., całkowicie wykonaną w kraju, która w dniu 27-go ub. m. w Poznaniu zdobyła Mistrzostwo Polski, złoty puhar i pierwsze trzy miejsca.

Talerzyki, nieustępujące w niczem zagranicznym wyrobom, pierwszej polskiej fabryki St. Czapczyk w Grudziądzu.

Komitet zawodów tworzyli: pp. Mańkowski, kpt. Kruczek J., Kędzierski, Czapczyk i Tad. Jurjewicz z ramienia Zakładów Amunicyjnych „Pocisk“ S. A.

Zarząd Zakładu zdrojowo-kąpielowego w Truskawcu

urządza w dniach 22, 23 i 24 sierpnia b. r. ogólnopolskie zawody w strzelaniu do rzutków.

Strzelanie odbędzie się na odpowiednio urządzonej strzelnicy na Pomiarkach ad Truskawiec, wedle ogłoszonego poniżej regulaminu strzelania. Do współudziału w zawodach dopuszczeni będą członkowie wszystkich polskich i zagranicznych Towarzystw łowieckich i strzeleckich oraz oficerowie W. P. Ponadto wszyscy amatorowie i goście niezrzeszeni z wyjątkiem zawodowców, będą również mile widziani.

Zgłoszenia przy równoczesnem dołączeniu wpisowego, które do wszystkich strzelań łącznie ustalone zostało na kwotę 50 zł. — przyjmuje Zarząd zdrojowy w Truskawcu do dnia 20 sierpnia włącznie, przyczem atoli zastrzega sobie Zarząd zdrojowy — że jeśli nie wpłynie dostateczna ilość zgłoszeń przysługuje mu prawo ewentualnego odwołania zawodów.

Regulamin strzelania.

1. Strzelanie konkursowe do rzutków, odbędzie się w Truskawcu w dniach 22, 23 i 24 sierpnia 1929 r. na Pomiarkach.

2) Konkurencje odbędą się w porządku uwidocznionym w programie.

3) Do współudziału w zawodach dopuszczeni są P. T. Członkowie wszystkich polskich i zagranicznych Towarzystw Łowieckich i strzeleckich oraz P. T. Oficerowie W. P. Wszyscy amatorowie i goście niezrzeszeni, z wyjątkiem zawodowców jako współzawodnicy mile widziani.

4) Zgłoszenia pisemne i telegraficzne przyjmuje Zarząd zdrojowy w Truskawcu, do dnia 20 sierpnia przyczem w usprawiedliwionych wypadkach przyjmuje się zgłoszenia po wyżej oznaczonym terminie.

5) Wpisowe do wszystkich strzelań wynosi 50 zł.

6) O wszystkich sprawach rozstrzyga komitet, a spory wynikłe przy strzelaniu, rozstrzyga bezapelacyjnie Jury — a również zastrzega sobie ewentualne zmiany.

7) Na stanowisku wolno stać podczas strzelania tylko strzelającemu.

8) Po stronie prawej i ku tyłowi od stanowiska strzelającego w odległości 10 kroków mieści się tylko Jury i sygnałowy dający hasło gwizdkiem rzutkowemu w odpowiedzi na gotowość strzelca.

9) Dla publiczności obserwującej, są wyznaczone miejsca poza obrębem strzału w miejscu o 40 kroków w tyle stanowiska strzelającego oddalone, ogrodzone drutem.

10) Do udziału w strzelaniu dopuszcza się wszystkie bezpieczne przez Komisję rusznikarską uznane strzelby myśliwskie, gołębiarki i automaty o kalibrach 12, 16 i 20.

11) Przed strzelaniem ocenia i kwalifikuje broń komisja rusznikarska i uznaną zaopatruje w znaki.

12) Każdy ze strzelających w konkursie, strzela kolejno do 10 rzutków.

13) Za ważne rzutki uważa się rzutki całe, puszczone pod takiem nachyleniem od poziomu, aby przy spadku na ziemię odległość ich od maszyny wynosiła conajmniej 30 kroków, co oznaczy zatoczony płotek.

14) Kaliber śrutu używanego do strzału najwyżej $2^3/_4$ mm średnicy (angielska numeracja 5).

15) Strzelający musi każdy rzutek cały i regulaminowo rzucony przyjąć i ostrzeliwać.

16) Do każdego rzutka wolno dwa razy najwyżej strzelać.

17) Niewypał z winy broni, lub strzelca uważa się za strzał chybiony.

18) Niewypał z winy naboju powoduje powtórzenie strzału do odpowiedniego rzutka.

19) Za trafiony uważa się rzutek widocznie w powietrzu rozbity. Skorupy rozbitego rzutka muszą być widoczne (zdarza się bowiem, że rzutek po strzale pyli tylko, lub że filcowe przybitki towarzyszące rzutkowi, po strzale robią złudzenie rozbicia rzutka). Takie rzutki uważa się za chybione.

20) W razie równej ilości trafionych rzutków następuje rozstrzeliwanie w serji 10 rzutków.

Konkurs wyżłów.

Zarząd Wielkopolskiego Związku Myśliwych podaje PP. Członkom do wiadomości, że w sobotę dnia 7 września br. odbędzie się na terenie majętności Iwno pod Kostrzynem Premjowy Konkurs Wyżłów Dowodnych i młodych (podać wiek).

Premjowanie nastąpi według ilości punktów uzyskanych w egzaminie z pracy leśnej, ciętości, pracy wodnej, pracy polnej i apelu.

PP. Członkowie, właściciele hodowli psów myśliwskich i zawodowi treserzy, chcący wziąć udział w konkursie, wini zgłoszenia swe z dokładnym opisem wyżła (wiek, maść, wysokość, owłosienie etc.) oraz z określeniem pochodzenia, o ile są w posiadaniu rodowodu, również z dołączeniem tegoż, nadesłać najpóźniej do dnia 20 sierpnia br. do sekretarjatu Wielkopolskiego Związku Myśliwych Poznań, ul. 27 Grudnia 19.

Równocześnie zaznacza się, że *psy niedokarmione* nie zostaną do konkursu dopuszczone.

Jako nagrody dla wyżłów dowodnych przewidziane są 4 nagrody pieniężne w wysokości 300 zł, 200 zł, 150 i 50 zł, medale oraz listy pochwalne, dla wyżłów młodych medal srebrny, bronzowy i listy pochwalne.

Do Komisji Sędziowskiej należeć będzie grono seniorów naszego łowiectwa i wybitnych znawców psów myśliwskich, oraz Zarząd Związku.

Konkurs rozpocznie się o godz. 9,30 rano. Środki lokomocji z stacji kolejowej w Kostrzynie do Iwna, miejsca przeznaczenia konkursu, są zapewnione.

Goście przybywający na konkurs samochodami otrzymają w tym dniu bliższe szczegóły co do miejsca konkursu od strzelca z białą opaską na lewem ramieniu na stacji w Kostrzynie.

W razie nieotrzymania więcej jak 5 zgłoszeń kandydatów — konkurs się nie odbędzie.

ZA ZARZĄD

Sakretarz (—) *W. Kostro*

Prezes (—) *K. Chłapowski*



Sprawy Towarzystwa

Sprostowania względnie uzupełnienia.

W numerze 15 „Łowca“ z 1 VIII. 1929 r. w spisie delegatów, w powiecie lwowskim, opuszczono nazwisko delegata Stanisława Kumora, Naczelnika Wydziału, Lwów, Województwo.

Sprawozdanie z tegorocznego premjowego strzelania uzupełnia się w tym kierunku, że w strzelaniu IV-tem, z broni małokalibrowej miejsce IV-te zdobył Stanisław hr. Krasicki, biorąc jako nagrodę garnitur na czarną kawę, dar Towarzystwa Myśliwskiego w Czo. kowie.

†

JÓZEF BARTMAŃSKI

zmarł w swoim majątku Tadaniu dn. 30 sierpnia b. r. w 60 r. życia.

Ziemianin, członek i delegat M. T. Ł., myśliwy, wybitny hodowca i miłośnik zwierzyny, hodowca koni pełnej krwi angielskiej, opuścił szeregi nasze na zawsze. Knieja Jego w Tadaniu przed wojną światową znaną była w całej Małopolsce z obfitości i różnorodności zwierzyny. Ci, co tam polowali, z miłem wrażeniem opuszczali dwór i knieję tadańską, z pierwszego wywożąc w pamięci miłą postać Gospodarza, Jego gościnność i dowcip, z drugiej pierwszorzędne wspomnienia myśliwskie i podziw dla kultury łowieckiej, którą umiejętny myśliwy wprowadzić potrafił w te obszerne i głębokie lasy.

Wojna światowa zniweczyła te wspaniałe zwierzostany Tadania, ale co najgorsze, załamała zdrowie ś. p. ich właściciela. Odbyte trudy wojenne zrobiły swoje. Nie znalazł On już w sobie sił i energji do rozpoczęcia pracy łowieckiej na nowo. Interesując się zawsze żywo łowiectwem i swą zwierzyną, poświęcił się jednak już głównie swym koniom, które hodował z zamiłowaniem i wielkiem znawstwem.

Imieniem tych wszystkich, Kochany Towarzyszu, co w Twych borach czerpali rozkosze myśliwskie, co w gościnnym Twym domu zapominali o troskach codziennego życia, co w Twem towarzystwie gawędzili w ostatnich dniach niemal przed Twem odejściem na zawsze o czasach dawno minionych a szczęśliwych, bo urokiem marzeń i snów młodzieńczych owianych, z sercem głębokim przepełnionem żalem, składam na świeżej Twej mogile złomek jedliny.

Ziemia ta Twoja, którąś tak bardzo ukochał, niech Ci lekką będzie.

A. M.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32